

Syndrom Grincha

Nic nie jest chyba w stanie zakłócić niezwyklej magii świąt Bożego Narodzenia – ani kolędy rozbrzmiewające w markecie w połowie listopada, ani wszechobecna nachalna pseudoświąteczna reklama, ani nawet tratujące się fale zakupowiczów. Bo kiedy przedświąteczna gorączka osiąga apogeum, a widok czerwonego Mikołajowego uniformu zaczyna wywoływać w nas alergię, przychodzą święta i znów jest po prostu... świątecznie.

W znakomitej komedii „Rozmowy kontrolowane”, utrzymanej w duchu mistrza Barei, jest oto taka scena, przedstawiająca generałów milicji obchodzących Wigilię przy „tradycyjnej postnej szynce”. Wbrew pozorom, historia ta nie wydaje się wcale tylko satyrą na funkcjonariuszy dawnego systemu. Owa scena doskonale oddaje też część prawdy o niezwyklej fenomenie społecznym, jakim są święta bożonarodzeniowe. Bo choć dla istotnej części ludzkości mają one przecież nade wszystko wymiar religijny, to jak żadne inne potrafią łączyć wierzących z niewierzącymi. Ten fenomen chrześcijańskiej radości i nadziei, jaką przynosi Narodzony w Betlejem, od wieków rezonuje bowiem także na ludzi obojętnych religijnie, wywołując w nich pozytywne wibracje.

Okazuje się jednak, że dziś w wielu krajach hasło „tradycja – rzecz święta” zaczyna odchodzić do lamusa. Dzieje się tak nawet w Stanach Zjednoczonych, gdzie święta Bożego Narodzenia biją swą popularnością nawet patriotyczny Dzień Niepodległości. Tymczasem już teraz w wielu amerykańskich szkołach rezygnuje się ze zwyczaju wspólnego śpiewania kolęd, a choinka zaczyna być postrzegana jako ostentacyjny symbol religijny, który rzekomo razić ma ludzi niewierzących, a nawet ranić uczucia wyznawców innych religii.

I pomijając już nawet wątpliwą wartość logiczną takiego rozumowania, wypada zauważyć, że owe chore przejawy politycznej poprawności władz miejskich, szkolnych czy niektórych polityków są najczęściej działaniami na wyrost. Bo kiedy z reguły nikt nie protestuje przeciwko świątecznym zwyczajom, wtedy właśnie najczęściej pojawia się grono altruistów, zatroskanych o laickość państwa czy potencjalnie zranione uczuciach bliżej niezidentyfikowanej grupy osób.

Absurdalnie wyglądają także niektóre wygibasy słowne mające maskować religijny charakter świąt Bożego Narodzenia. I tak np. we Francji w języku publicznym należy je nazywać świętami „końca roku”. Po prostu, mają być święta i tyle, nieważne jakie. Grunt, żeby były świeckie.

Jest w tych wszystkich zabiegach coś niepokojącego. I tu nie chodzi już nawet o wielki konflikt światopoglądowy, starcie cywilizacji czy ogólnoswiatową rewolucję kulturalną, ale o najzwyczajsze wyzbywanie się tradycji i odzieranie naszych corocznych, domowych, uświęconych z dziada pradiada rytuałów. Kawałek po kawałku. A tradycja jest przecież jednym z fundamentów scalających nie tylko poszczególne społeczeństwa, ale i całą cywilizację łącińską.

Trudno się więc dziwić, że taki stan rzeczy budzi sprzeciw zarówno wśród tych Europejczyków, jak i Amerykanów, wierzących i ateistów, którzy trochę jak te dzieci z bajki o Grinchu, czują, że ów złośliwy stwór kradnie im święta Bożego Narodzenia... Oni chcą przecież tylko radosnego, rodzinnego,

pozbawionego jakiegokolwiek ideologicznej otoczki tradycyjnego świętowania Bożego Narodzenia.

W jednym z dzienników napisano niedawno, że według obliczeń naszych przewoźników, na tegoroczne święta ma przylecieć z Wielkiej Brytanii do Polski kilka tysięcy anglojęzycznych turystów. Część z nich przybywa na zaproszenie polskich znajomych i bliskich, inni z własnego wyboru. Co ich właściwie przyciąga do naszego kraju pod koniec grudnia? Socjologowie zwracają tu uwagę na owo polskie przywiązanie do rodziny i tradycji, którego zaczyna brakować na Zachodzie.

Bo choć rytuał kupowania, suto zastawiony stół i okazałe prezenty stają się dziś często celem samym w sobie i przysłaniają duchowy sens ubóstwa betlejemskiej stajni, to opłatek, pasterka i śpiewanie kolęd przy wigilijnym stole – są dla zdecydowanej większości Polaków nadal „zestawem” obojętnym. Że to niby zgrany motyw? A czyż właśnie w tej powtarzalności i przewidywalności nie tkwi aby czasami istota i cały urok magii bożonarodzeniowych świąt? W rytuale uczestnictwa w Narodzinach Pańskich, w byciu świadkiem tego, co wydarzyło się w Betlejem, w niezwyklej momencie wyśpiewywania pełną piersią radosnego północnego „Bóg się rodzi”... Po raz kolejny. Tak jak przed rokiem. I pewnie tak jak za rok.

Nawet u tych, dla których święta nie mają wymiaru religijnego, a stanowią jedynie czas prezentów i słodkiego nicnierobienia, ów duchowy pierwiastek bierze górę nad tym, co powierzchowne, acz atrakcyjnie opakowane. I budzi się w nich ta naturalna, choć na co dzień skrywana, a nawet tłumiona chęć bycia dobrym, uczynnym, życzliwym... No bo niby skąd bierze się w człowieku to słynne metafizyczne „oczko” – owe 21 gramów, których podobno ubywa nam w chwili śmierci...?

Ktoś więc obejrzy po raz kolejny „Opowieść wigilijną”, ktoś inny pojedna się z bliskimi lub zaprosi samotnego sąsiada na wieczerzę. W żaden inny dzień nie jesteśmy tak skłonni do wybaczenia, życzliwości, okazywania innym ciepłych uczuć, jak w ów wigilijny wieczór. Czy można to tłumaczyć jedynie kulturowym stereotypem? Chyba nie... ŁK

